
Jak się bili

- MAREK BEYLIN •
 - KORNELIA SOBCZAK •
 - ANDRZEJ BONARSKI / TOMASZ ŁUBIEŃSKI •
-

Jak się biją polscy realiści

• MAREK BEYLIN •

Powrót po dekadach do ważnych lektur z młodości grozi horrorem. Nie wiadomo, czy będzie to konfrontacja z tekstem żywym, czy już martwym, który tylko pozoruje życie, chrobocząc w trumnie. Toteż z lękiem czytałem się w książki z lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku, wówczas mnie formujące bądź rozpalające wyobraźnię oraz emocje. *Bić się czy nie bić?* Tomasa Łubieńskiego¹, radykalnie negującą powstańcze zrywy Polaków oraz naszą heroiczną wyobraźnię, i *Rodowody niepokornych* związanego z bliskim mi kręgiem opozycji demokratycznej Bohdana Cywińskiego², esej o radykal-

nej inteligencji, lewicowej i narodowej z końca dziewiętnastego i początku dwudziestego wieku, chcącej wyrwać

Autor jest historykiem sztuki, publicystą, komentatorem „Gazety Wyborczej”, stałym felietonistą „Dialogu”. Ostatnio wydał książkę *Klimat, lewica, siostrzeństwo. Rewolucje trwają (kontrrewolucje też)*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2021.

społeczeństwo z politycznej bierności – te dzieła barwnie opowiadały o zdarzeniach i bohaterach przeszłości, co już stanowiło czytelniczną wartość, ale przede wszystkim przydawały historycznej powagi naszym, kotłującym się w dyktaturze PRL, nadziejom i zwątpieniom, upadkom i podnoszeniom głów, klęskom i poszukiwaniom dróg,

¹ Tomasz Łubieński *Bić się czy nie bić?*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1978. Korzystam z wydania: *Bić się czy nie bić. Czerwono-biały. Norwid wraca do Paryża*, Pavo, Warszawa 1996.

² Bohdan Cywiński *Rodowody niepokornych*, Biblioteka „Więzi”, Warszawa 1971.



WIĘZIENIE W BIAŁOŁĘCE N/Z L/P, 1982. NA ZDJĘCIU INTERNOWANI:
HENRYK WUJEC, LECH DYMARSKI, JANUSZ ONYSZKIEWICZ, JACEK KUROŃ,
JAN RULEWSKI. FOT. JAN KRZYSZTOF KELUS/FOTONOVA.

by było lepiej. Ta nabywana w lekturach historyczna powaga tyleż nas uwalniała, co skuwiała przykazami pragmatyzmu. Poczucie uwolnienia wiązało się z umacnianiem świadomości, że we wszystkich tych trudnych wyborach nie jesteśmy ani pierwsi, ani sami. Bo mamy za towarzyszy (dziś napisałbym towarzyszy/towarzyski, ale wtedy genderowa poprawność była poza społecznym horyzontem) kilka pokoleń ludzi zmagających się w dziewiętnastym wieku z podobnymi dylematami. Nie tylko: bić się czy nie bić?, ale bodaj jeszcze bardziej: jeśli się bić, to w jaki sposób? Ta tożsamościowa więź z przeszłymi postawami gruntowała moje poczucie, że warto coś robić. A zarazem kazała chować w kącie nadzieję, że lepszy świat jest na wyciągnięcie ręki. Łatwiej było budować w przyjacielskich kręgach małe „lepsze światy”, funkcjo-

nujące mimo rzeczywistości, niż tę rzeczywistość realnie zmieniać.

1.

Piszę „my”, co wymaga wyjaśnień, jaką zbiorowość przywołuję. Należałem wówczas, w drugiej połowie lat siedemdziesiątych zeszłego stulecia (co dla dzisiejszej młodzieży brzmi, jakbym się pętał po lasach za powstania styczniowego) do opozycyjnej młodzieży związanej z Komitetem Obrony Robotników. Tworzyliśmy w Warszawie niezbyt liczne grono dwudziestoparolatków, w większości studentek i studentów. Nie tylko działaliśmy, lecz również, dyscyplinowani przez naszych mentorów, w moim przypadku zwłaszcza Adama Michnika i Jacka Kuronia, dużo czytaliśmy. Wspomniane tu książki należały do naszego kanonu lektur,

obejmującego zresztą szerokie spektrum ideowe i gatunkowe. Z grubsza od Dmowskiego po Marxa, od Radiszczewa po Konwickiego i od Puszkina po Miłosza. A królami naszych lektur byli Kołakowski, właśnie Miłosz i Barańczak. Wskutek tych tekstów i towarzyszących im suto podlewanych dyskusji jedni stawali bliżej Piłsudskiego, inni Dmowskiego, a jeszcze innych, w tym mnie, ciągnęło do dawnych radykalnych lewicujących inteligentów. Och, jakże lubiłem napaści Wacława Nałkowskiego i Stanisława Brzozowskiego na elity politycznie skonformizowane i infantylne umysłowo. Poruszał mnie też los bohatera *Płomieni*, Michała Kaniowskiego, rewolucjonisty po klęsce. Z młodzieńczą egzaltacją uważałem, że ta postać dotyka mojej/naszej egzystencji.

Piszę o tym, by również sobie uprzytomnić, z jakim wyposażeniem pod-

chodziłem do postaw ideowych i życia. W moim przypadku ważne było też to, że wychowałem się w środowisku rewizjonistów, niegdyś ideowych komunistów, którzy od lat pięćdziesiątych buntowali się przeciw partii komunistycznej, więc bunt uważałem za normalną drogę życiową. Myślę dziś, że tworzyliśmy grupę żywą umysłowo, lecz arogancką wobec większości społecznej, która starała się żyć w miarę godziwie w ramach ustroju. Bez otwartego buntu, zadowolając się wyrzekaniem na władzę. A umacnianie lekturami przeświadczenie o naszej osobności jedynie radykalizowało podział na świat nasz, moralnie słuszny i podniosły, i świat tamten, marniejszy i przyziemny, konstytuowany przez, jak ocenialiśmy, abdykację z odważnych wyborów. To dość okropne poczucie własnej wyższości nad niemal całym społeczeństwem szczęśliwie pę-



ŚWIĘTO PRACY, 1977. FOT. MIROSŁAW STANKIEWICZ.

kło, gdy powstała Solidarność i nagle okazało się, że stanowimy tylko drobną część rozpolitykowanej polskiej zbiorowości.

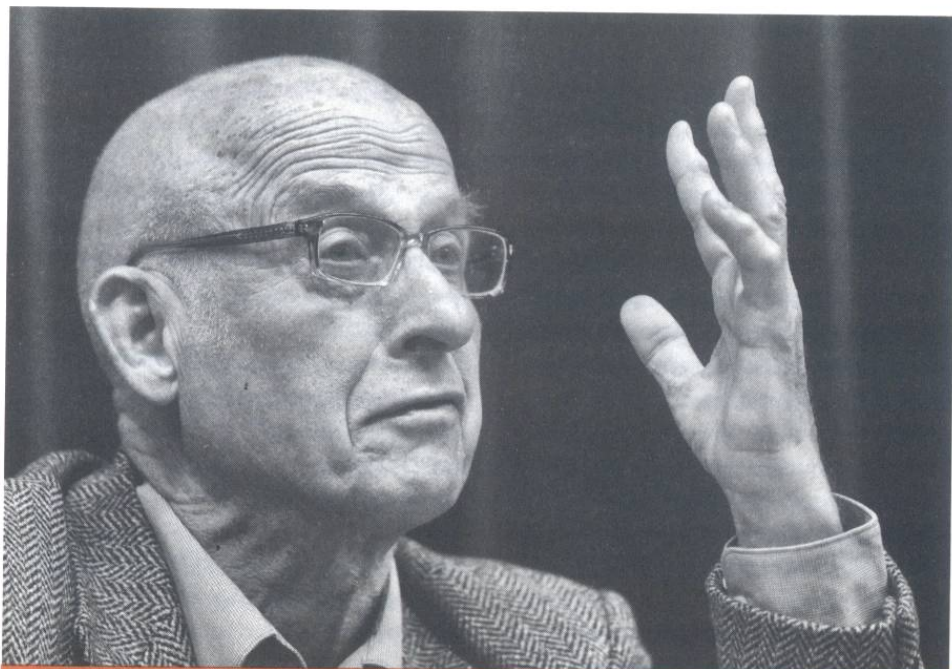
Jednak te nasze egzaltacje tym, że jesteśmy uczestnikami i uczestniczkami fundamentalnego nurtu polskiej historii, wielkich etosów i toposów, podtrzymywały zarazem gorące, obsesyjne dyskusje o tym, do jakich granic możemy posuwać się w działaniach i na jakie bezkrwawe zmiany przyzwoli rządząca partia komunistyczna i Kreml dozorujący tak ją, jak społeczeństwo. Innymi słowy, ustawicznie toczyliśmy debatę o realizmie, choć część z nas, młodszych i starszych, nie lubiła tego słowa ani jawnych przejawów takiej postawy, uważając je za nośnik abdykacji z wielkich celów. Pamiętam potężną awanturę wśród aktywu korowskiego wywołaną tekstem Jacka Kuronia o tym, że warto postawić na finlandyzację Polski: na status półniepodległego państwa, które jednak respektuje jakąś dozę wolności i praw obywatelskich. Na Jacka wylało się wtedy oburzenie, że zdradza ideę Polski niepodległej, ideały wolności etc. Było w tych zarzutach niemało hipokryzji i wyparcia, wszak rozjuszeni dyskutanci też, jak wszyscy poza garstką wariatów, nie chcieli powtórki powstań, pamiętaliśmy przecież o sowieckich interwencjach na Węgrzech w roku 1956 oraz w Czechosłowacji w 1968.

Dyskusje o realizmie toczyły się nie tylko w naszym kręgu. To była najpowszechniejsza polska debata, rozgrywająca się i w obrębie idei, i w licznych praktycznych wyborach w całym społeczeństwie. Polskę wypełniały spierające się i współlistniejące realizmy. Zapisać się do partii czy nie? Z jednej strony to obciach; niemała część szeregowych członków Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej pogardzała nią nie mniej

niż ludzie trzymający się od niej z daleka. Jednak z drugiej strony, takie członkostwo nie tylko ułatwiało karierę, lecz pozwalało także – i była to motywacja nierzadka – chronić wartościowe instytucje. Iść na raczej obowiązkowy pochód 1 maja czy nie iść? Stawić się na wybory i oddać na oczach komisji głos bez skreśleń, czyli na PZPR, czy też zbojkotować pseudowybory bądź udać się do kabiny wyborczej za zasłonką, dając komisji powody do przypuszczeń, że taka osoba wyłamuje się z obowiązującej linii? Ludzie kalkulowali: wybrać gest manifestacji własnej autonomii czy też, skoro te gesty nie służą żadnej konkretnej i ważnej sprawie, unikać możliwych kłopotów dla siebie i rodziny. I za każdym razem rozstrzygali, nawet jeśli czynili to instynktownie, bez głębokich namysłów: gdzie przebiega granica kompromisów, za którą jest już tylko służalczość.

Pod tym względem ten codzienny realizm egzystencjalny zbiegał się z koncepcjami realizmu politycznego. W nich też chodziło o moralną cenę za ustępstwa wynikające z prostej konstatacji, że żyjemy w państwie wasalnym, którego podległości strzegą milionowe armie. Był więc realizm Kościoła, gniewna ugoda z władzą i jakie takie wzajemne respektowanie swoich stref wpływów. Był realizm większości środowisk inteligencji, zwłaszcza intelektualistów i twórców: nie wychylać się nadmiernie, unikać polityki, lecz dbać o poziom i wartości na własnym polu. Był wspomniany już realizm KOR, bliski tradycji radykalnej inteligencji opisywanej w *Rodowodach niepokornych* oraz myślenia Leszka Kołakowskiego zawartego w *Tezach o nadziei i beznadziejności*³. Kołakowski odrzucał myślenie „wszystko albo nic”, niepodległość

³ Leszek Kołakowski *Tezy o nadziei i beznadziejności*, „Kultura” (Paryż) nr 6/1971.



FOT. ANDRZEJ RYBCZYŃSKI.

Tomasz Lubieński (1938), pisarz, eseista, w latach siedemdziesiątych współzałożyciel pisma „Res Publica”, wychodzącego od 1979 poza cenzurą. Pismo to, zainicjowane przez Marcina Króla i Wojciecha Karpińskiego, budowało orientację konserwatywną o nastawieniu antynacjonalistycznym i proeuropejskim. Zaznaczało swą ideową odrębność od głównego nurtu KOR i kwartalnika „Krytyka”, który współredagowałem, czerpiących również z tradycji lewicowych. Obie te redakcje funkcjonowały we wspólnym środowisku, tyleż zaangażowanym w działalność, ile prowadzącym frenetyczne życie towarzyskie. Toteż o naszych ideowych różnicach nierzadko przyjaźnie rozmawialiśmy.

albo niewola, i proponował „czynny reformizm”: wykorzystując sprzeczności systemu, należy choć trochę poszerzać swobody na własnych polach. Realizm KOR osadzał się również wokół programowej książki Adama Michnika *Kościół, lewica, dialog*⁴: propozycji sojuszu opartego na respektowaniu praw człowieka między środowiskami laic-

kiej inteligencji i kręgami kościelnymi. Był również ceniony w opozycyjnych kręgach realizm Jerzego Giedroycia i jego „Kultury”. Nie będzie niepodległej Polski bez niepodległych Ukrainy, Litwy i Białorusi – głosił Giedroyc piórem Juliusza Mieroszewskiego. „Kultura” w przeciwieństwie do emigracji londyńskiej pilnie śledziła także wydarzenia w kraju, wypatrując w kolejnych kryzysach szans na luzowanie systemu.

⁴ Adam Michnik *Kościół, lewica, dialog*, Instytut Literacki, Paryż 1977.

2.

W te polskie realizmy, w imię jeszcze innego realizmu, wałnął jak piorun esej Tomasza Łubieńskiego *Bić się czy nie bić?*; wydany w roku 1978 wzniewał gorące dyskusje. Przyznaję: wkurzał mnie/nas ten pamfletowy esej, choć zarazem doceniałem jego liczne zalety. Łubieński w świetnym pisarskim stylu, nie stroniąc od atrakcyjnych opisów obyczajowych, pisze o szkodliwości polskich powstań, od kościuszkowskiego po styczniowe. Patrzy na te zrywy z perspektywy „zwykłego życia”, a nie wielkich idei, jak ocalanie polskości czy budowanie bohaterskich wzorów, z których korzystać ma potomność. I konstatuje: po każdym powstaniu było tylko gorzej, mniej oddechu, słabsze elity, marniejsza kultura i silniejsze zbiorowe ciągoty, by przystosowywać się do reguł narzucanych przez carat. Łubieński nie tylko odbiera wszelką wartość powstaniom, lecz również redefiniuje – błuźnierczo wobec dominującej romantycznej tradycji – sytuację Polaków na tle Europy. Nasze mesjanizmy, rozświeślanie Europy pochodniami wolności, aspiracje do wzbogacania jej naszą walką i świadectwem uniwersalnej duchowości to jedynie niemądre fantazje. Bo uniwersalizm rozumiany jako koncepcja ładu był po drugiej stronie.

Partykularnej w końcu idei Polski niepodległej przeciwstawiał bowiem [car] Mikołaj uniwersalną ideę europejskiego porządku, bronił sam za wszystkich metternichowskiego Świętego Przymierza, które wywalczono po ćwierćwieczu bezbożnej francuskiej rewolucji i napoleońskiego barbarzyństwa. [...] Jakże przy tej globalnej koncepcji wyglądały lokalne polskie pretensje?⁵

– pisze Łubieński o powstaniu listopadowym, ale jego teza odnosi się do całego dziewiętnastego wieku. Ale i bez tej przeszkody wojny Polaków były skazane na klęskę. Duszący duch półniepodległości od trzeciego rozbioru demoralizował elity, uczył je serwilizmu, z każdą przegraną coraz większego, zacierając różnicę między polityczną ugodą, czyli właśnie realizmem, a zabiegami o łaskę caratu. Nawet w sprzyjających geopolitycznych okolicznościach takie elity nie miały szans, by prowadzić Polaków do zwycięstwa. Zwłaszcza że w powstaniu listopadowym i styczniowym nie wiedziały, jaką ojczyznę i dla kogo miałyby to zwycięstwo budować. Państwo podziemne „styczniowców” „nie potrafiło wywiązać się ze swoich programów i zamiarów. Nie było w stanie przeprowadzić żadnej polityki wobec społeczeństwa”. W efekcie to carat realnie emancypował chłopów, znosząc pańszczyznę, i carat, wobec radykalizacji państwa podziemnego i jego quasi-terroru wymuszającego pomoc powstaniu, stawał się dla wielu gwarantem porządku – opresyjnego, bywało śmiertelnego, ale takiego, który wprowadzał „minimum spokoju koniecznego dla życia w ogóle”. W dodatku, każde powstanie uszczuplało jedynie krajowe elity, jedni łądowni na Sybirze, inni na emigracji. A emigracja oznaczała koniec politycznej sprawczości i gejzer wzajemnych kłótni, jak to bywa w przypadku słabych i przegranych. Jak zgryźliwie konstatuje Łubieński, największym sukcesem polistopadowej Wielkiej Emigracji nie był widoczny, lecz bezradny w polityce, więc wydmuszkowy Hotel Lambert z księciem Adamem Czartoryskim na czele. Nie! Taki sukces odniósł porucznik Patek, „który razem z kolegą Czapkiem wziął się w Szwajcarii do

⁵ łubieński, op.cit., s. 15; kolejne cytaty s. 75, 76, 45 i 79.

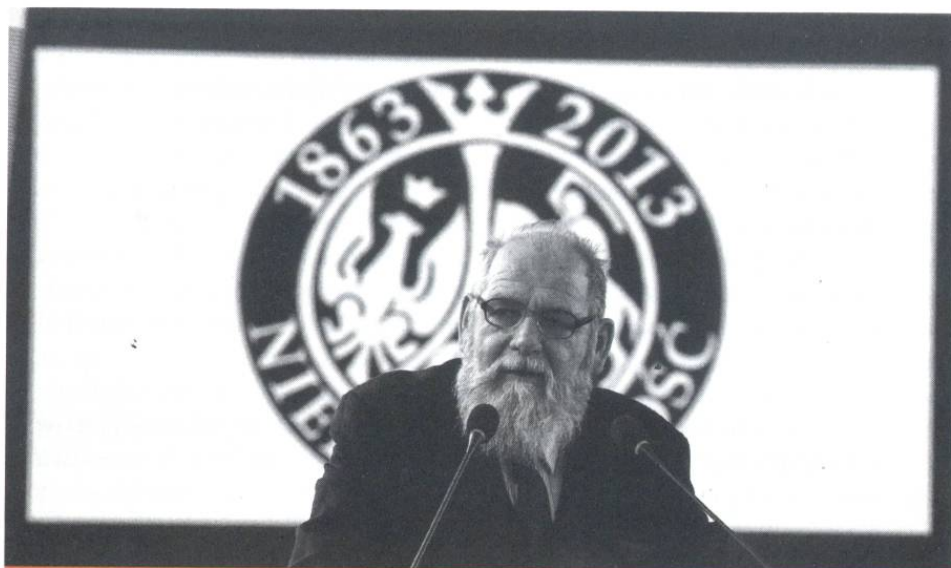
produkcji zegarków”. Wyrosła z tego słynna firma Patek.

Toteż, konkluduje Łubieński, może lepiej było się trzymać szczątków państwa, jak te po drugim rozbiórze czy też Królestwa Kongresowego, czekając na lepsze koniunktury. Ponieważ „szans nie miało żadne powstanie, wpędzały tylko naród w coraz cięższą niewolę i niedolę”. Ale, niespodzianie dodaje autor, wolno też sądzić, że powstania „właśnie za rzadko się odbywały, za słabo, za mało radykalnie – pod społecznym i wojskowym względem”. Cóż to takiego? Próba ugody z czytelnikami i władającą uczuciami heroiczną tradycją? Jednak nie. Łubieński pokazuje konsekwencje mentalnego odruchu, że skoro tamte zrywy się nie powiodły, bo były źle zorganizowane, to należało by następne przygotować lepiej. Czyli sprawniej organizować nieuchronną rzeź. Ale do kogo ta mowa w sytuacji, gdy niemal nikt nie chciał zbrojnego zrywu? Piszac o dawnych polskich szczątkowych państwowościach i pół-niewoli, Łubieński ma na myśli PRL, dyktaturę, w której dawało się jakoś żyć. W tamtej Polsce kostium historyczny często służył temu, by przekazywać współczesne treści polityczne. A wspólne kody pozwalały trafnie ten kamuflaż rozszyfrowywać. W dodatku, jak pamiętam, kody te obejmowały daleko szerszy świat niż tylko kręgi humanistycznej inteligencji. Słowa takie jak „carat”, „buntownik”, „konspiracja” nieodmiennie wywoływały skojarzenia z teraźniejszością (aż dziw, że nie powstał dotąd leksykon aluzji używanych w PRL). Toteż Łubieński zwracał się do tych współczesnych, którzy radykalnie odrzucali PRL, z ostrzeżeniem: uważajcie, wprowadzie nie chcecie zbrojnej konfrontacji, ale jeśli będziecie dążyć do radykalizacji nastrojów społecznych, możecie bezwiednie doprowadzić

do wybuchu. A wtedy staniecie wobec zrywu, którego nie chcieliście i nie przygotowaliście. Co skończy się jak zawsze: krwawą rozprawą oraz „większą niedolą i niewolą”, przy której ułomny PRL zda się utraconą krainą spokoju i swobodnego życia.

Czytałem to wtedy jako bezpośrednią polemikę z korowskim etosem i realizmem, według autora kierującymi społeczeństwo do tego samego co zawsze szaleństwa. A pośrednio, jak sądziliśmy, Łubieński zwracał się również przeciw postawom opisywanym w *Rodowodach niepokornych* – wszak to one odradzały się z wolna w PRL od początku lat siedemdziesiątych po klęsce marca 1968 i w pełni manifestowały się w KOR. Cywiński czynił bowiem z figury radykalnego inteligenta, tak lewicowego, jak narodowego, zaczyn zmagania o niepodległość. Tajne organizacje samokształceniowe i wzajemnej pomocy, podziemne wydawnictwa, Uniwersytet Łatający, kolportaż wolnej prasy przez carski kordon, konspiracyjna i półkonspiracyjna praca u podstaw – wszystko to stanowiło, uświadamiał Cywiński, pożądane i realne instrumentarium budowania wolnej społecznej świadomości. My zaś uważaliśmy te działania za nasze instrumentarium i naszą tradycję.

Powstanie Solidarności w roku 1980 spór ten przysłoniło, ale go nie unieważniło. Bo, jak się mogło zdawać, historia podążała za scenariuszem Łubieńskiego. Toż właśnie środowiska związane z KOREm i radykalna inteligencja wielce się przyczyniły do narodzin i krzepnięcia tego ruchu. A Polska nie raz stawiała wtedy przed groźbą zbrojnej radzieckiej interwencji. Nasz rodzimy stan wojenny wprowadzie zwiększał „niedolę i niewolę”, ale i tak w porównaniu z łatwymi do przewidzenia skutkami najazdu ZSRR tworzył krainę łagodności. Czy więc Łubieński



FOT. TOMASZ GZELL.

Bohdan Cywiński (1939), historyk, w latach siedemdziesiątych był związany z Klubem Inteligencji Katolickiej w Warszawie i „Więzią”. Działacz opozycji demokratycznej, współzałożyciel związanego z KOR Uniwersytetu Latającego (1977), przekształconego w Towarzystwo Kursów Naukowych (1978-1981), wzorowanych na Uniwersytecie Latającym opisywanym w *Rodowodach niepokornych*.

miał rację: niepotrzebnie ryzykowaliśmy koszmar, bo o upadku komunizmu zdecydowały zewnętrzne wobec nas koniunktury? Można na to odrzec, że Solidarność potężnie wstrząsnęła polskim systemem i całym obozem. I choć osłabła w stanie wojennym, zachowała jednak tyle siły, by doprowadzić do Okrągłego Stołu i całościowej zmiany systemu. Kto wie, jak bez niej upadałby w Polsce (a może też w innych sąsiednich krajach) komunizm i jaki ustrój by się z tego wypoczwarzył? Może demokracja, wszystko jedno, jak kulawa, nie stanowiłaby doświadczenia trzydziestolecia, lecz wciąż orientowa-

ła tylko marzenia? Wszak Solidarność przed stanem wojennym upowszechniła w społeczeństwie przekonanie o fundamentalnym znaczeniu obywatelskiej autonomii dla jednostek i zbiorowości. Każdy musi zdecydować, gdzie jest więcej racji, bo odpowiedzi nie będzie. Historia alternatywna bywa wdzięcznym polem twórczości, ale brakuje do niej źródeł, tworzą ją więc wyłącznie światopoglądy i temperamenty.

3.

Czas wrócić do początkowego pytania: ile życia zostało w tych książkach?

Najpierw rzucają się w oczy anachronizmy; rozumiałe, bo mało komu udaje się wyrwać spod władzy ducha czasu. Przede wszystkim w obu książkach nie ma społeczeństwa jako sprawczego podmiotu polityki. W tej roli występują tylko elity, inteligenckie, przemysłowe, wojskowe, polityczne. To nie jest tylko przypadek Łubieńskiego i Cywińskiego, lecz powszechna postawa wobec przeszłości i teraźniejszości. W ówczesnej polskiej wyobraźni politycznej lud jako siła sprawcza wejdzie na scenę wraz z Solidarnością. Wcześniej myślano raczej tak, jak widział to Giedroyc w roku 1972: „Zawsze w tym niewydarzonym kraju decydowała mała garstka ludzi, którzy z uporem realizowali swą wizję”⁶. I oczywiście, w tych rozważaniach niemal nie ma kobiet. Owszem, Cywiński wzmiankuje o ich mocnym udziale w pracach Uniwersytetu Łatającego, ale ogólne wrażenie z tych (i wielu innych) dzieł jest takie, że kiedyś, dawno, dawno temu, wszystkie kobiety bezpowrotnie wygnano z Polski. No i wyraźnie nie docenił Cywiński znaczenia nacjonalizmu (Łubieński kończy opowieść zanim ta zmora się tu narodziła). Owszem, krytykuje nacjonalistów i antysemitizm, dostrzega złe skutki konstrukcji „Polak-katolik”, ale w gruncie rzeczy opisuje te zjawiska, jakby nie miały wielkiej władzy w Polsce.

A co dziś, za niepodległości, z programowymi tezami tych autorów? W roku 2011 „Kultura Liberalna” zorganizowała dyskusję nad *Rodowodami*⁷. Należący do różnych pokoleń uczestnicy, między innymi Karolina Wigura, Paweł Śpiewak, Paweł Marczewski, byli w większości zgodni: do widzenia

z Cywińskim. Co, dopowiem, znaczyło również: do widzenia z tamtym Łubieńskim. Linię tej debaty wyznaczyła Karolina Wigura, przyznając *Rodowodom* zalety wykładu o historii, stwierdziła: „demokracja nie potrzebuje niepokornych, ale obywateli”. Mam w tej sprawie inne zdanie: demokracja pilnie i zawsze potrzebuje niepokornych obywateli. Zresztą, samo pojęcie obywatela/obywatelki mieści w sobie niepokorę, bo zakłada zdolność do autonomicznego rozstrzygania, jakich polityk wymaga wspólne dobro, i definiowania takiego dobra. Bo tylko ci świadomi, właśnie niepokorni, są w stanie demokracji pilnować oraz naprawiać jej niesprawności, również w buntach. Gdy takiej czujności brakuje, demokracja łatwo grzęźnie w patologiach, a populiści maszerują na różne stolice. Widzimy to w wielu krajach. A najlepszym znanym sposobem, by kwitł duch niepokornego obywatelstwa, jest edukacja, otwarta na różnorodne światy, emancypująca, antyprzemocowa i podważająca hierarchiczne rzeczywistości. Edukacja w duchu dawnego Uniwersytetu Łatającego, jaką przywoływał Cywiński. Toż tamtym radykalnym inteligentom też chodziło o kształcenie wolnych obywateli (i nawet obywaterek). Te uchwycone w *Rodowodach* związki między postawą niepokory, wolną edukacją i dążeniami emancypacyjnymi pozostają dziś równie aktualne, jak niegdyś.

Natomiast Łubieński każe pamiętać, że politykami i polityczkami winna rządzić etyka odpowiedzialności obejmującej efekty własnych poczynań. Tę formułę Maxa Webera da się zapisać prościej: dobrymi intencjami jest wybrukowane piekło. Ta przestroga stosuje się też do demokracji, i ona ma swoje realizmy oraz mity woluntarystycznej mocy. Realizmy demokracji da się z grubsza ująć w trzech wymia-

⁶ Jerzy Giedroyc, Stefan Kisielewski *Listy 1946-1991*, Biblioteka „Więzi”, Warszawa 2020, s. 190.

⁷ Po 40 latach... *Rodowody niepokornych, genealogie konformistów*, „Kultura Liberalna” nr 4/2011, <https://kulturaliberalna.pl>.

rach. To, po pierwsze, ustawiczna konieczność rozstrzygania, ile demokracja potrzebuje różnorodności, w tym buntów oraz obywatelskiego gniewu, i ile spójności, która zbiera te różne dążenia i postawy wokół wspólnych reguł i wartości. To, po drugie, ustawiczne godzenie równości z wolnością. Według jednych to wartości sprzeczne (ile wolności toleruje równość, ile nierówności ma tolerować wolność?), według innych, w tym dla mnie – komplementarne i sobie niezbędne. Co jednak wymaga namysłu, czyli także realistycznych kompromisów, wokół tego, jak tworzyć skuteczne polityki równościowe. To, po trzecie, stały przykaz definiowania, gdzie leżą granice naszych demokracji, więc także demokratycznej troski, skoro coraz

częściej świat zewnętrzny wpływa na nasze życie pośrednio lub bezpośrednio. Czy naszą granicą jest Unia? A co w takim razie z migrantami i kryzysami, które wywołują masowe migracje? A co, w dodatku, z koniecznością przeciwdziałania katastrofie klimatycznej? Biedne kraje nie mają na to środków, ale to one przeważają, więc ich bezruch w tej sprawie prowadzi do zniszczenia, również demokracji. Czy to znaczy, że demokracje mają rozszerzyć swe granice na cały świat? Tego zrobić się nie da, ale coś zrobić trzeba. Dziś nie ma zadowalającej polityki. O wszystkie te kwestie kłócimy się od dawna i są to często kłótnie różnych realizmów. Sam w nich uczestniczę i mam wrażenie, że bez tych dawnych lektur uczestniczyłbym marniej.

